

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącymi sosnami.

(Ciąg dalszy).

21

XXXI.

Wychodząc z sali rozpraw wraz z innymi świadkami, spostrzegłem jakiegoś człowieka, stojącego obok prokuratora. Był to bardzo niepozorny człowiek, który innym razem zapewne nie zwróciłby mojej uwagi — teraz jednak nie tylko spojrziałem, ale nawet obejrzałem się na niego, wychodząc z drzwi sali.

Dowiedziałem się później, że to był Sweetwater, detektyw z Nowego Yorku, który z takim trudem zebrał poszlaki przeciw Arturowi — poszlaki, które w świetle zeznań najnowszego świadka zupełnie inne zyskały znaczenie — co on sam z pewnością uznał. Uderzył mnie wyraz jego twarzy, na której zawód detektywa z profesji, mieszał się z ludzkim i profesjonalistą zaciekawieniem wobec niespodzianej sytuacji. Gdyby nie to, przejęty tem wszystkim, co zaszło, nie byłbym zapewne zauważył obcego całego człowieka.

Gdy odchodziłem, rozmawiał jeszcze z panem Foxem. Udało mi się później dowiedzieć treści rozmowy; jaką w chwilę później prowadzili on, mr. Fox i dr Perry.

— Czy ta dziewczyna mówi prawdę? — zapytał prokurator Fox, gdy ci trzej zamknęli się razem i otwarcie mogli mówić to, co myślą. — Doktorze, jak pan sądzi?

— Ja ani nie wątpię, że ona prawdę mówi. Kobieta, która dla względów czysto moralnych może narazić się na ból i utratę tak niezwyklej urody, nigdyby się nie poniżyła do kłamstwa, nawet dla uratowania życia bratu. Ja mam do niej pełne zaufanie, Fox i ty również możecie je mieć.

— Wierzysz, że ona sparzyła się rozmyślnie?

— Nie mogę temu odmówić wiary; będziesz mnie może uważał za sentymentalnego; ale ja znałem i kochałem jej ojca...

— Przypuścimy, żeś nie znał jej ojca; przypuścimy, że nie więcej interesuje cię ta dziewczyna i cała ta sprawa, niż samych sędziów przysięgłych? Co wtedy...

— Jeszczebym jej uwierzył przez ludzkość serca, choćby dlatego, że to takie szczęście daje znaleźć coś szczerzego i silnego w tem brudnym codziennym życiu — jak gdyby klejnot w śmietniku. Och tak, uczuciem się rządę, przysięgam.

Mr. Fox zwrócił się do Sweetwatora:

— A pan?

— Panie Fox, czy pan ma te szczypce?

— Tak, zapomniałem; przyniesiono je do mojego biura, razem z innymi przedmiotami. Nie przywiązywałem do nich wagi i znajdziesz je pan tam, gdzie je wrzuciłem, w pudle, oznaczonym „Cumberland“.

Znajdowali się w biurze prokuratora, to też Sweetwater wstał od razu i wy dostał szczypce.

— Oto moja odpowiedź — rzekł, znacząco wskazując na jedną z nóg.

Prokurator pobladł i dał znak Sweetwaterowi, by zabrał szczypce z powrotem. Siedział chwilę milczący, poczem oświadczył:

— Mam wysoki szacunek dla miss Cumberland. Sweetwater wrócił na swoje miejsce.

Dr Perry czekał.

Ostatecznie mr. Fox zwrócił się do niego i stał przewidywane pytanie:

— Czy jesteś pewien wyniku sekcji? Czy śmierć miss Cumberland przypisać należy istotnie uduszeniu, a nie owej truciznie, którą zażyła?

— Ja już to zaprzysięgłem i zaprzysięgłbym po raz drugi, gdybyś mnie powołał na ławę świadków. Trucizna, przy wielkim jej podnieceniu zresztą, pozbawiła ją przytomności, ale za mało jej było, albo też za stara była i przez to za mało skuteczna, ażeby śmierć spowodować. Miss Cumberland byłaby prawdopodobnie po pewnym czasie zbudziła się do życia: być może nawet, że się zbudziła. Jednakże ucisk tych palców był zabójczy, tego ona przeżyć nie mogła. Nawet nie wiesz, ile mnie kosztuje, że to powiedzieć muszę, ale takie pytania, jak twoje, wymagają odpowiedzi. Nie byłbym uczciwym człowiekiem, gdybym nie odpowiadał szczerze i sumiennie.

Sweetwater poruszył się na swoim miejscu. Mr. Fox odwrócił się i przyjrzał mu się bacznie.

— Niech pan mówi — rzekł.

Ale Sweetwater nie miał nic do powiedzenia.

Ani dr. Perry tem mniej. Wszystkich gnębiła ta nie rozwiązana zagadka i odpowiedzialność za spłatane z nią losy ludzkie.

Ku uspokojeniu wszystkich, Karmela silniejszą się czuła fizycznie, niż przypuszczaliśmy, gdy wróciła na ławę świadków w godzinach popołudniowych. Utraciła jednakże trochę odwagi. Straciła nadzieję, że oczyści brata jednym słowem, straciła też pełne nadziei podniecenie.

Mr. Fox nie kazał długo czekać na siebie. Z uprzejmością, jaką rzadko okazywał świadkom ze strony obrony, zaczął dalszy ciąg badania następującym pytaniem:

— Miss Cumberland! W sprawozdaniu z ostatniego pani widzenia się z siostrą, wspomniała pani o pewnej powiatce, którą niegdyś razem czytałyście. Czy mogłaby nam pani podać tytuł tej powiatki?

— Zatytułowane to było: „Legenda o Franciszku I“. Nie była to powiatka, tylko krótkie opowiadanie, które Adela znalazła w jakimś starym miesięczniku. Zrobiło ono na nas wielkie wrażenie; ja tego nigdy nie zapomniałam.

— Czy może nam pani treść w kilku słowach opowiedzieć?

— Owszem. Było to bardzo proste opowiadanie. Mowa tam była o młodej dziewczynie, która zeszpeciła swoją urodę, ażeby uniknąć zalotów króla i o tem, jak król ją potem zawsze szanował, nawet ją siostrą swoją nazywając.

Głos jej zadrżał — a to drżenie echem ozwało się w moim sercu. Jakiś prąd odczucia i sympatii przebiegł po raz pierwszy od niej ku mnie. Widząc niewinność jej oczu, słysząc jej słowa, zrozumiałem ostatecznie, że krzywdziłem ją przypuszczeniami moimi — to też gdybym mógł, byłbym jej do stóp padł w tej chwili.

Oczy widzów tymczasem, rozumiejąc sytuację, pobiegły od jej twarzy ku mojej i wszyscy, zaminając o obwinionym, skupili uwagę na tej tragedii dusz, tak okrutnie odsłonięj przed ciekawością tłumy.

Nie mogłem tego znieść. Na szczęście mr. Fox położył kres mojej mecie, zwracając się do świadka z bardzo doniosłym zapytaniem:

— Trzymając ręce siostry w swoich w chwili jej domniemanego zgonu, czy zauważyła pani, czy zmarła miała na palcu ten oryginalny pierścionek, który jej dał mr. Ranelagh, jako pierścionek zaręczynowy?

— Tak jest — ja go nie tylko widziałam, ale czułam. Nie miała innego pierścionka na lewej ręce.

Prokurator zamilkł na chwilę. Może on sam się tej odpowiedzi nie spodziewał, a teraz pragnął, żeby ją sędziowie dobrze zapamiętali.

A więc Adela sama nie zdejmowała pierścionka; był jeszcze na jej palcu na chwilę przed śmiercią. Straszny fakt, przemawiający przeciw Arturowi! Mimowoli spojrziałem na niego. I on patrzył na mnie. Spotkały się nasze spojrzenia. Myślałem o nim, on o mnie... Wzruszenie było ogólne — jedna tylko Karmela była spokojna; może nie rozumiała znaczenia tej chwili.

Mr. Fox badał dalej.

— A gdy pani wstała i układała ręce siostry?

— Był wciąż na jej palcu; ja tę rękę ułożyłam na wierzchu.

— I nie zdjęła pani pierścionka?

— Nie, ależ nie! — I twarz jej i cała postawa wyrażały przeczenie.

— Tak, zdaniem więc pani ten pierścionek był wciąż jeszcze na ręku siostry, gdy pani wychodziła z pokoju?

— Z największą pewnością, panie!

Teraz lęk brzmiał w jej głosie; zaczynała rozumieć, że jej zeznania nie ze wszystkim korzystne są dla Artura. Bezradna, błagalnie spojrziała na obrońcę brata. On jednakże, pilnie zajęty ołówkiem i papierem, nie dodał jej otuchy; chyba ze spokojnego jego zachowania i obojętnej miny wykręsać mogła tę odrobinę otuchy. Nie wiedziała — ani ja jeszcze wtedy nie rozumiałem — ile niepokoju kryć się może pod takim pozorem.

Mr. Fox widział jej spojrzenia i może lepiej rozumiał przeciwnika, niż ona, gdyż wyprostował się z zadowoleniem i pytał dalej bardzo spokojnie:

— Czem pani roznieciła ogień na kominku?

— Drzewem z koszyka i trochę drobnych drzazg, które tam były.

— A te drzazgi czem pani rozpałała?

— Kawalkami papieru, które przyniosłam ze sobą w torebce.

— A więc przyniosła pani ze sobą papier?

— Tak. Widziałam drzewo, ale wiedziałam, że drzewa nie rozpał bez papieru. To też przyniosłam to z domu.

— Czy ogień prędko się rozpałił?

— Nie bardzo prędko.

— Miała pani z tem kłopot?

— Tak panie. Ale ostatecznie rozpałałam ogień. — Czy pani w domu zwykła często rozpałać ogień?

— Tak, na kominku.

— I umie pani to robić?

— Uważałam zawsze, że to bardzo łatwo, byleby mieć papier i dosyć drzazg na podpałkę.

— I jeżeli przeciąg jest dobry.

— Tak, panie.

— A w tym pokoju piec ciągnął dobrze?

— Z początku nie.

— Ach, więc nie. Kiedyż pani zauważyła, że jest lepiej?

— Kiedy kartka, którą chciałam spalić, uleciała w górę.

— Rozumiem. Czy to nastąpiło, zanim się drzwi otworzyły, czy potem?

— Potem.

— Czy otwarcie drzwi wpłynęło na temperaturę pokoju?

— Nie umiem powiedzieć; wogóle nie czułam, ani czy jest zimno, ani czy gorąco.

— Nie czuła pani mroźnego chłodu, gdy pani otwierała okno w garderobie celem wyrzucenia buteleczki?

— Nie pamiętam.

— Możeby pani pamiętała, gdyby go pani poczuła?

— Tego nie wiem.

— Czy może pani powiedzieć, czy poczuła pani większy chłód w sieni, gdy pani szła do telefonu?

— Żeby mi szczękały, ale...

— A przedtem, czy szczękały?

— Być może; ja to dopiero wtedy zauważyłam, ale...

— O same fakta chodzi, miss Cumberland. Żeby pani szczękały, gdy pani szła przez sieni. Czy to trwało dalej, gdy pani weszła do pokoju, gdzie był telefon?

— Nie pamiętam: ja wtedy nic prawie nie czułam.

— Nie pamięta pani, czy żeby pani szczękały?

— Nie, panie, nie pamiętam.

— Ale pani pamięta, że pani drzwi zamknęła za sobą?

— Tak jest.

Otwarte okno w sieni! Tego chciał dowieść, że było wtedy otwarte. Sądząc po wyrazie twarzy sędziów, zdawało się, że tego dowiodł.

Następne dociekanie przeprowadzał podobnie. Zapytał, czy przez ten cały czas, gdy była w budynku klubowym, słyszała jakie odgłosy, którychby wytłumaczyć sobie nie umiała.

— Tak jest, niejednokrotnie.

— Czy może pani opisać te odgłosy?

— Nie, były bardzo rozmaite. Najpierw sosny szumiły ciągle; wiedziałam że to sosny, a jednak musiałam słuchać. A raz posłyszałam jakiś odgłos posuwania — wtedy właśnie na chwilę ucichły sosny — ale nie wiem, co to było. To wszystko było takie straszne...

— Czy ten odgłos posuwania był taki, jaki mogło wydawać okno, gdyby je kto otwierał?

— Być może. Ja wtedy o tem nie pomyślałam, ale być może, że to tak brzmiało.

— Skąd ten odgłos płynął?

— Z tyłu, gdyż obróciłam głowę.

— Gdzie się wtedy pani znajdowała?

— Przy kominku. To było, zanim Adela weszła.

— Bliski to był odgłos, czy też daleki?

— Daleki, ale nie umiem określić bliżej, skąd szedł — doprawdy nie umiem. Zapomniałam o tem zaraz.

— Ale teraz przypomniła sobie pani?

— Tak jest.

— A czy teraz nie przypomina pani sobie żadnych innych odgłosów, prócz tych, o których pani mówi? Wtedy, kiedy pani wychodziła do sieni — pani wie, wtedy, kiedy to pani żeby szczękały — czy pani nic innego nie słyszała, oprócz szumu sosen?

Po twarzy jej przemknął wyraz lęku. Podniosła rękę, jedną z nich chwyciła się za gardło, potem opuściła rękę i z wolna... ostrożnie... jak gdyby po omacku drogi szukając, odpowiedziała:

— Zapomniałam. Słyszałam coś, jakiś odgłos pod którymiś drzwiami. Był to bardzo słaby odgłos... jakby coś... ja sama nie wiem, co. Nic mi to nie nasunęło wtedy i teraz także nie. Ale pan pytał, więc odpowiadam.

— Stusznie, miss Cumberland. Sędziowie powinni znać te fakta. Czy to było ludzkie westchnienie?

— To nie był szum sosen.

— I to się odezwało pod którymiś drzwiami? Pod którymi mianowicie?

— Pod temi naprzeciw pokoju, gdzie zostawiłam siostrę.